MISCELLANEA

UWE JOHNSON

Wielkanocna woda

Na wiosnę po wojnie córka Cresspahla zobaczyła w lustrze o rozmiarach człowieka, obok drzwi kuchennych, chudą długonogą postać stawiającą wielkie kroki. Wtedy przyszła jej na myśl wielkanocna woda.

Podeszła do lustra tak blisko, żeby móc je chwycić obiema rękami i skierowała swoje zatroskane spojrzenie na wysyp piegów, które przetrwały zimę na jej nosie. Próbowwała czytać jednym okiem w drugim, czy mając trzynaście lat jest się zbyt dorosłym na wielkanocną wodę. Jej głowa przesunęła się ukośnie tak daleko, że mogła trącić długim czubkiem języka swój własny wizerunek za szkłem tak ostrożnie jak kot, który przed chwilą zakradł się w jej myśli.

Gdy wyskakiwała przez okno, naszła ją wątpliwość. Wielkanocną wodę trzeba było przynieść ze źródła w pierwszy świąteczny dzień przed wschodem słońca i nie można było przy tym pisać ani słówka, w przeciwnym razie straciłaby ona swoją moc. Działanie obiecywało piękno dla skóry, która była nią myta.

Źródła koło Jerichow jednak nie знаła. Wszystkie wąskie rowy z wodą pochodziły z głębi Meklemburgii. Podniosła jedną nogę do góry, poruszała palcami i zastanawiała się, czy również płynąca woda stawiała się w czasie Wielkanocy silna. Do swojej przyjaciółki Ingi nie chciała iść, ponieważ ostatnio, gdy babcia Inge dała jej pajdę chleba z powidłami, obie podczas jedzenia uważnie ją obserwowały. Kiedy Gesine siedziała cicho, jak teraz na parapecie okiennym, myśli zatrzymały się i powstrzymały bujające się nogi, czuła się pusta w środku. Przełknęła ślinę, kiedy usłyszała zbliżające się za domem kroki. Zeskoczyła na zewnątrz. Jej ojciec dawał pierwszeństwo drzwiom.

Ale kto w dzisiejszych czasach chodził do domu Cressphala przez drzwi, nie mógł w spokoju zastanowić się, czy Morze Bałtyckie było również źródłem. Do drzwi trzeba było w dzisiejszych czasach zapukać, ponieważ za nimi uciekinierzy gotowali, prali, byli na pół nadzy, spali, i przemierzając kuchnię córka gospodarzy musiała zamienić z nimi słowo, żeby nie czuli się traktowani wrogo. Ona nie lubiła także być zagadywana ani obcych dłoni na głowie, poza matką Jakuba, która jednak dziewczyny nie dotykała. Pobiegła przed siebie przez martwy ogród za suszarnię cegielni i wspięła się na górę, na stopnie do połowy rozebranego muru. Nad wierzchołkami czarnego bzu widziała bladą młodą roślinność łąk spłśnioną ze starą trawą. Za płotem zagrody powietrze zamiatało bezdrzewne trzęsawisko w jednię. Lasy zamkowe po zachodniej stronie, przecinane rowami z wodą, sterczały niczym tyczki.

W sobotę przed świętem wrócił Jakub od chłopów i rozpakowywał powoli w kuchni wojskową torbę medyczną. Ona weszła z koszem wiklinowym, rzuciła go na piec kuchenny i czekała schylona z na pół obróconą głową, ponieważ chłopak był o sześć lat starszy i już dorosły. On powiedział: co i ty. On oparła nogi na stołku i wspierając się na stole kołysała się na kolanach. On przyniósł oskórowanego królika, grudę masła, nierówny kryształ czerwonego cukru dla zwierząt, jajka. Jedno jajko kulało się bokiem do jej rogu stołu, dało się złapać w jej szybko przystawioną dłoń, która odesłała je z powrotem. Jakub wprawił je palcem ponownie w ruch i powiedział do niej:

– Z cukrem, znasz to? Gesine postawiła jajko na spiczastym końcu, pozostawiła je tak, pchnęła pięcioma palcami górną część skorupki i zapytała Jakuba, jak w jego stronach wyprawiali się po wielkanocną wodę.

Jakub siedział zgarbiony na swoim miejscu. Szedł dwie godziny pieszo. Miał kurz na twarzy. Był już w takim wieku, że mógł zarabiać na jedzenie dla swojej matki i na jeszcze jedno jajko dla obcej dziewczyny. Z cukrem jeszcze nigdy żadnego nie jadła. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła jajku wpaść do gardła, podczas gdy Jakub opowiadał, że wielkanocna woda na Pomorzu była pobierana ze źródła lub bieżącej wody. Musiano ją pić, lub myć się nią, zanim rozjaśni się na wschodzie. Nie można było wymówić ani jednego słowa, i dotyczyło to zdrowia i urody.

– Mam cię obudzić? – zapytał.

Ona zasnęła w ubiegłym roku, teraz przechyliła lekko głowę i patrzyła na niego lekko rozwartymi oczami,ssała brudne jajko. On nawet nie skierował na nią wzroku.

- Nie mów nic – powiedział. Zobaczył coś obok jej oczu. Potem do kuchni weszła nauczycielka z Prus Zachodnich i zapytała o Cresspahl, spoglądał wielokrotnie w dół na smugi krwi na ciele królika i na jajka. Gesine nie mogła zrozumieć, dlaczego Jakub nic z tego nie odstąpił kobiecie i wróciła z koszem na plac drzewny.

Gesine nie mogła zasnąć, noc była czarna, a ona liczyła uderzenia zegara w pokoju ojca. Z otwartego okna przyszło zimno. Nagle poderwała się, ponieważ kot w nogach łóżka gwałtownie podniósł głowę. Roczne dziecko rosyjskiej nauczycielki płakało przez sen i ściany rozmawiały niespokojnie. Po północy zerwał się wiatr i potrzasał zaczepami okiennicowymi w czopach walcowych zasuwnic okiennych. Spadająca dachówka holenderka zabrzęczała krótko, zahaczając o ścianę cegielni w szopie. Na Pomorzu wielkanocna woda służyła również zdrowiu. Jeżeli dokuczał ci głód, zdrowie cię opuszczało. Miejmy nadzieję, że matka Jakuba nie schowała jajek, lecz usmaży je należycie na patelni, która była tak gorąca i zatłuszczona, a jej brzeg kroił skorupki jak nóż. Kiedy obudziła się, na zewnątrz robiło się już szaro.

Robiła wszystko, chodząc na palcach, ponieważ Cresspahl zabronił jej wychodzić w sukience z domu. Wzięła tę w kolorze aksamitnej zieleni, w której ciocia Papenbrock przed czterdziestoma laty poszła na naukę konfirmacyjną. Zdjęła cicho pantofle na drewnianych podeszwach. Przed lustrem podniosła obydwoma rękoma włosy do góry, kierując swój wzrok wzdłuż twarzy na kark. Sukienka zamknięta w piaskowej szarości opadała szerokimi fałdkami w formie dzwonu, kołnierz zwisał niedbale, zacieniona twarz na szczupłej szyi wydała jej się obca, niemal upiorna. Szybko pozwoliła opaść włosom, zachowała ręce wzniesione i dała sobie znak obydwoma wyciągniętymi kciukami. Nic nie mówić. Nie bać się.

Kiedy przybyła niezauważona na drogę polną między płotem zagrody a cegielnią, zaczęła biec z brzuchatym wiadrem w rękę. Obok śladów taczki krowy wydeptały sobie ścieżkę, która była tak szeroka jak ich kopyta, toteż mogła biec tak, jak one, wysuwając jedną nogę przed drugą. Obrzeża ścieżki nie były jeszcze wydeptane, mocno nasiąknięta rosą trawa zmoczyła jej nogi aż do kolan.

Nie trwało to długo, a wiadro zaczęło jej ciążyć, opadło i uderzyło ją ostrą krawędzią w nogę. Zatrzymała się prawie w mgnieniu oka i obejrzała. Mało co posunęła się do przodu. Miasto nie było jeszcze w zasięgu wzroku, dom Crespahla był wyraźnie zauważalny, w oknach willi stojącej za nim widać było światło. Przy cegielni w szopie poruszało się coś długiego, co żyło, wypełzło na padok, prześliznęło się dalej. Bardzo powoli odwróciła głowę i spojrzała przed siebie.

Blade światło stopniowo stawało się coraz mocniejsze, odbierało barwę łąkom, pastwiskom, dalekim lasom, niebu, jej stopom w trawie, wszystkiemu. Wschód miała za sobą.

Słońce podążało za nią, musiała być szybsza. Przez pewien czas było wesoło wywijać w pełnym biegu wiadrem raz jedną, raz drugą ręką. Tylko przez opłotowania padoku przechodziła powoli i dopiero przy ostatnim zrozumiała, że wiadro należy przerzucić. Wtedy już miała grzęzawisko za sobą. Istniała wprawdzie droga wiodąca przez grzęzawisko, ale w dniu poprzedzającym wkroczenie oddziałów rosyjskich, utopiła się tam pewna stara kobieta z trójką dzieci. Przy noszono tam również noworodki. Krótko mówiąc, mogłaby tam spotkać kogoś, a ona przecież nie mogła nic mówić. Po upływie jednej godziny miała półtorej godziny drogi do Jerichow i stała w na półwilgotnej sukience, i oblepionymi piaskiem stopami przed zamkowym lasem. Weszła doń na czubkach palców. Sosny stały jak odrętwiąłe. Ich korony zaciemniały cichą przestrzeń między pniami. Ścieżka dla pieszych była wypełniona igliwem rdzawożółtym i zielonym, szyszkami, cienkimi złamanymi gałęziami, jakby nikt tędy nie szedł. Kroki dudniły w jej uszach. Wzięła wiadro pod ramię, a drugą ręką przytrzymywała mocno uchwyt, żeby nie stukotał.

Topniejące śniegi i deszcze wszystkich lat wyryły głębokie muldy na drodze, która wiodła w górę i na dół, zarośla zarastały ją na bokach, i gwiazda wydawała się jej ponownie ciemna jak noc. Gwiazda była skrzyżowaniem trzech dróg i dwóch ścieżek dla pieszych. Droga leśna wznosiła się tak wysoko, że prowadziła do wolnego nieba. Obrąła tę ukośną ścieżkę do jazu, wystające gałęzie uderzały, krzewy popędywały ją. Później już nie wiedziała, czy dym wcześniej zobaczyła, czy raczej poczuła. Nagle pojawił się tuż przed nią, gdy wpadła wprost do obozu Rosjan. Wysokie kanciaste namioty kamuflażowe stały przed nią, zamaskowane bezlistnym poszyciem leśnym. Zdyszana cofała sztywno jedną stopę za drugą. Wartownik siedział nad nią na ambonie. Samotny żołnierz w każdej chwili mógł dostrzec dziewczynę z olbrzymim wiadrem – wystarczyło, by lekko się pochylił. Ona tymczasem, lekko się obróciła, kontrolując wzrokiem obóz, ostrożnie stawiała nagie stopy na połamanych gałęziach. W końcu, zdrętwiąła, obróciła się zupełnie, zaczerpnęła powietrza i pognała przed siebie. Żołnierz tymczasem uniósł do ust niedopałek papierosa, zaciągnął się tak ciężko, jakby wzdychał. Teraz można by przejść pod nim, bez poruszenia się zwężonych oczu pod ściągniętymi brwiami.

To spowodowało, że musiała nadłożyć trochę drogi przez leśniczówkę, a ta zbaczała w stronę szczytu wzgórza, i w dolinie z lasem hrabiny między bukami wpadła na ścieżkę z jagodami, która kończyła się przy trzecim rowie. Przez pierwsze dwa mogła przeskoczyć. Tutaj można było rozpoznać odcisk kłody, która leżała w poprzek. Woda cuchnęła zgnilizną, była stojąca. Cisnęła wiadro w najbardziej przerzedzone miejsce zarośli na drugiej stronie, cofnęła się gwałtownie i skoczyła. Jedna stopa ugrzęzła jej na długo w błocie i kiedy się podniosła, najchętniej zostałaby tak w pozycji leżącej. I straciła tyle czasu. Myślała tak szczerze o przekleństwie, że przez chwilę bała się, że powiedziała coś na głos. Siedziała na ziemi, a gdy wyciągnęła jedną dłoń po wiadro, zobaczyła mężczyznę. Jego duża ręka drgnęła. Ciężkie spodnie żołnierskie stały blisko jej rąk, przy jej ramieniu. Nad poplamioną trawą koszulą zobaczyła twardy jednodniowy zarost. Twarz była łagodna, nieruchoma, nawet niezwrócona do niej. Krzywo zgięte palce odgarniały jej włosy z czoła, głos miękki jak kreda powiedział coś. Nawet nie potrząsnęła głową. Szybko obróciła się na plecy, wstała cofnęła się z zacisniętymi mocno wargami. Kiedy jej pięty poczuły brzeg rowu, próbowała spojrzeć za siebie. Mężczyzna nie zmienił pozycji, lustrował ją spojrzeniem, jego usta opadały skrzywione.

Stał jej na drodze. Wylot tej drogi szeroki na sześć kroków pasa zieleni, nie pozwalał jej rozpedzić się do skoku na drugą stronę. Drzewo olchowe stało za blisko i odbiłoby ją, gdyby przeskoczyła. Zrobiła pół kroku w bok. Mężczyzna zrobił pół kroku w bok.

Rzuciła się plecami na jego kolano, kiedy on szykował się, ale w upadku chwycił ją, przyciągnął do siebie, położył się wygodnie pod nią i zaczął głaskać ją po uszach, jakby nie czuł jej uderzające kolana. Powiedział:

– Dziewczyno, dziewczyno – jak przyłapaną, dziwiąc się. Ona zauważyła nagle Jakuba wychodzącego po drugiej stronie z krzewów. Wtedy mogła uwolnić połowę głowy z szerokodłoniowego uchwytu i kąsać. Cała nie mogła się jednak oswobodzić.

Jakub skoczył i upadł obok nich na kolana, wyprostował się, uderzył leżącego sztywną stopą w szyję, poderwał ją i rzucił jedną ręką plecami w kierunku drzew olchowych. Pochylony do przodu z opadającymi ramionami powiedział coś. Ona nie zrozumiała tego. Ten drugi leżał, patrzył odrętwiale, wsparł się łokciami, zwałił w podskoku Jakuba z nóg, schylił się nad nim, dostał kolanem Jakuba w podbródek, szarpnął go, upadając do przodu, dusił szyję Jakuba, jęknął po jej kopniaku, puścił. Jakub wstał ponownie na nogi.

Ten drugi pełzał mozolnie przy cienkich pniach, wyprostował się krzywo. Tym razem Jakub uderzył pierwszy w podbródek, szyję, skroń, oczy, aż zataczające się odruchy tego drugiego ustały. Jakub wyciągnął jego ręce spod jego ciała, związał je rzemieniem od bicia z kieszeni w spodniach, wyrwał wiadro z zarośli i trzymał wszystkie palce dłoni przed wargami, kiedy Gesine chciała otworzyć usta.

Poszedł przodem. Po kilku metrach odwrócił głowę i dał jej znak, żeby poszła przed siebie za zakrętem drogi. Doszli do wygaszonego ogniska, obok którego leżała aktówka, naczynia kuchenne, otwarte puszki konserwowe, koce wojsk lotniczych Luftwaffe. Jakub obszedł czarno-szary popiół, wziął jedną puszkę do ręki, postawił ją z powrotem. Oddychał ciężko. Potem zobaczył pistolet maszynowy, pochwycił go za rękojeść z karbowaniami, obrócił pytająco twarz. Gesine zaczęła iść.

Kiedy zaczęła płakać, wziął ją za rękę i zmusił do biegu. Równomierny trucht uporządkował jej oddech, w krzakach (wydawało jej się) już nie płakała. Potem doszli do łąki trzcinowej, zobaczyli przez uskoki zakrętów płoty, wypływałe łąki szare morze i szary duży pełzający rów. Jakub zatrzymał się.

Z jazu widziała go siedzącego nieruchomo na słupku ogrodzenia padoku, z rozstawionymi nogami, jego twarz była zwrócona do krzaków, za którymi było Jerichow. Zimno zardzewiałej żelaznej kładki szczypało jej stopy. Nad łąkami hulał ciężki wiatr. Zdjęła z siebie przez głowę sukienkę i zsuwała się wisząc na balustradzie kładki do samych ramion czarnej klarownej wody. Wisząc na jednym ramieniu przemyśla sobie garścią wody twarz, podźwignęła się drżącymi nogami do góry, dysząc nałożyła z powrotem na siebie sukienkę, na której bardzo szybko przebiły się ciemnozielone plamy. Kiedy przy boku Jakuba szczęśliwie dotarła z pustym wiadrem w ręce, ukazujący się im niewyraźnie fragment morza był pstrokaty, ostry, jasny. Kiedy biegli koło krzaków, wieża w kształcie biskupiej czapki dygotała już w świetle dziennym.

Dotarli do domu przed śniadaniem. Kiedy Cresspahl przez drzwi powiedział:

- Obudź się – gderliwie dodając – ubierz spodnie – leżała już w łóżku. Jednak ostatecznie pozwolił jej jednak spać do przyjścia Ingi.

Inga, z którą swego czasu była zaprzyjaźniona, przyszła i powiedziała jej o uczęszczaniu do kościoła. Ona chciała również pójść po wielkanocną wodę z trzęsawiska, ale już przed domem zaczął się na nią Heini Lang i robił grymasy,

aż roześmiała się. Śmianie się nie musi jeszcze niczego sugerować, ale mówienie ma znaczenie i dlatego nakrzyczała na Heiniego Langa

W tygodniu po Wielkanocy został przywieziony do rosyjskiej komendatury, naprzeciwko domu Cresspahla, niemiecki żołnierz, którego Rosjanie schwytali na zachód od lasu hrabiny. W mieście opowiadano, że uciekł z niewoli. On był tak wykończony przez wojnę, że nie odważył się przybyć do swojej wioski i całe długie tygodnie biwakował w lesie. Był zdezorientowany, został wywieziony dalej, ponieważ mówił nieskładnie.

Jego zapomniała. Ale jeszcze długo później w okresach wielkanocnych otwarte okno, przed którym było wiosenne powietrze, przyspieszało zawsze bicie jej serca, tak szybko jak kiedyś tamtej dziewczyny, która siedziała u Cresspahla przy stole, czytała – z jedną ręką w niesfornych włosach, w których czytała odbicie wzroku w twarzy Jakuba i dała sobie wmówić, że płacz nie znaczy nic wobec wielkanocnej wody, która uczyni ciebie piękną i że będzie przyjemnie na ciebie spojrzeć.

Serwowane były jajka sadzone z boczkiem i smażone ziemniaki. Była tak najedzona, że oczy zamykały jej się same.

Tłumaczenie: Andrzej Talarczyk

Cytowanie

Uwe Johnson, „Wielkanocna woda”, *Przegląd Zachodniopomorski* 36 (2021), 65: 421–427, DOI: 10.18276/pz.2021.36-16.